

TYGODNIK ZIEMI SANOCKIEJ

Prenumerata z przesyłką wynosi:

rocznie 8 kor.
kwartalnie 2

Numer pojedynczy 20 hal.

do nabycia w Sanoku — w „Kramie”
T. S. L. w księgarni K. Pollaka, i w
trafikach.

Wychodzi w każdą sobotę wieczorem.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Kram T. S. L.
i Redakcja w Księgarni.

REDAGUJE KOMITET.

Listy adresować należy do Redakcyi (ul. Jagiellońska l. 40).

Ceny ogłoszeń:

za wiersz 1-szpaltowy — lub jego
miejsce — drobnym drukiem (peti-
tem) 10 hal.; w rubryce „Nadestane”
20 hal. od wiersza.

Rękopisów się nie zwraca.

Przy opłatku...

22

Święto Bożych Narodzin to dla nas odwieczne święto narodowe, z którym tradycja obyczajowa wieków zespoliła apoteozę wspólności rodzinnej, jedności zbiorowej i czci pokoleń młodych dla ideałów przeszłości. W wspomnieniach każdego z nas wieczór wigilijny otoczony jest blaskiem najszlachetniejszych wzruszeń lat dziecięcych. Nad ziemią polską, jak długa i szeroka, melodyjne popłyną tony kolend prastarych, a w płomieniach świeczek — gwiazdek wśród gałęzi każdego drzewka wigilijnego migocących jarzyć się będą uczucia, płonąć marzenia kroci tysięcy główek dziecięcych, ufających w tryumf Boga, który się rodzi i w pohańbienie truchlejących mocy ziemskich.

Dziś już wspominają o tych wrażeniach z smutną tęsknotą te same głowy przez które przeszły miazdzące koła doświadczeń, zawodów, rozczarowań i wątpliwości. Ale choć w wyobraźni zatarły się jasne barwy dziecięcych ulud, choć uczucia i marzenia poszły daleko poza obrazy pojęć tych lat pełnych cudu i czaru, w niemniej głębokim nastroju duchowego skupienia zbliżamy się jak ongi do stołów wigilijnych, aby symbolicznym dzielić

chlebem. I ustępuje wtedy z serca wszelkie skolatanie doczesne, a pierś przepelnia uczucie dziwnie mocne: wiary polskiej, z której sączy się moc wytrwania.

I jak ongi, jak co roku, tak i obecnie — zwłaszcza teraz, gdy nowe ciosy idą na Polskę od dalekiej północy, dżiatwa polska w modlitwach do Dzieciątka Bożego, które przyniosło światu błogosławieństwo odrodzenia dusz, w chwili tej modlić się będzie tą najgłębszą dziecka modlitwą o lepszą dolę dla Polski, o opamiętanie tych, co ją poniżają i krzywdzą, o ochronienie Jej przed klęskami nadchodzącymi... Starsi łamiąc opłatek wśród życzeń, aby ta Gwiazdka Betleemska, siejąca iskry Boże duchowej mocy dała nam siłę przetrwania gromów i burz, siłę przetrwania niedoli i wychowania przyszłych pokoleń na godnych spadkobierców ideowej spuścizny przez przeszłość przekazanej. Splotą się dłonie w bratnich uściskach wśród niemych ślubowań oddania każdej myśli i czynu każdego temu, co jest religią naszego uczucia: Ojczyźnie. Do tego bratniego gorącego uścisku wyciągamy dłonie nasze z tem najserdeczniejszym życzeniem, by wzmogła się wśród nas organiczna praca, by ugruntował się hart tężyzny, któryby ukochanie sprawy polskiej przekuł w setki tysięcy stalowym ramiou, by po całej Polsce powionął duch nadziei, a przy każdym

ognisku domowym zapanowała otucha i ufność w lepsze dni. Niechaj pamięć zdarzeń, co naprzemian zakrwawiały i napawały dumą serca polskie, wzmocni nas i zahartuje do dalszej walki o to, co nam najdroższe i najświętsze.

Nadzieją zbrojni, silni zapalem, mądrzy doświadczeniem, zahartowani i gotowi, wspierajmy każdy poryw uczciwej pracy, czuwajmy zbrojni w myśl czujną i mądrą, w duszę wierzącą, w ręce mocne, czuwajmy i tężmy ramiona, by była dana nam ta promienna chwila, by wśród błysku słońca rozwinął do lotu swe skrzydła sztandar Niepodległej, Wolnej Polski.

Czuwajmy!

Sdy się Chrystus rodzi...

Z niedwuznacznie znudzoną miną, lekko poziewając, wyciągnął rękę na pożegnanie:

— A więc dowidzenia! do jutra.

— ?!

— Jakaś Ty dziecinna! Chyba pojmujesz, że dzisiejszy wieczór muszę im poświęcić... no i w końcu wypada!

Prawda! że też jej odrazu to na myśl nie przyszło! Tylko... jakto? W dzisiejszy wieczór ma zostać sama? sama?!

P. KLIMCZUK.

Jak Jezusik u Walentego na wilije był...

22

Dawno bars dawno to już było.

Był naród jenszy, był urodzaj jenszy był naród dobry, było ludziom dobrze.

Pociemniało już sielnie, i z wieczora to było. Gdzieniektórzy pozierali już ku górze, czy ano gwiazd nie widać, bo wilija to była,

Śnieg łachą pokrył ziemię, ani drogi ani ścieżyny najmniejszej nie widać; bez kijaska w droge nie idź, bo zbłądzić łatwo, a po borach tłukło się zwierza moc. Żyrne to było, jakoże zima nie lada była. Mróz zmarzał się coraz bardziej. Jak okiem sięgnąć, nie ino bielusko a bielusko, cichość, jakiej, i w grobie niema.

Bory całe zawalone śniegiem, chojary drzew aże stękały od nawały — a choć to śnieg ino, zawsze ciężko im było. Zimy takiej dawno nie było — o nie!

Bez pola, bez góry i bory, po puchu onego śniegu szedł sobie mały chłopacek. Ubrane to było lichutko: porteci i kabacik ino, z gołą głową a bosc. Idzie se wesoło, pogwizduje jakby to nie mróz a śnieg — ino lato upalne a ziemia kwiatami umajona była.

Włożyło se rącki w kieszenie i idzie to sobie.

Od casu do casu potrząśnie główką, pokolebią mu się jaśniutkie włoski — i idzie sobie.

Napotka bruzde, podskoczy sobie, stanie mu na drodze chojak, pięknie go odeguie — i idzie sobie.

Kiej sie jus dokumentnie umęczył, usiadł se na miedzy.

Wnetki przyleciał piękny ptak, wielgachny kieby gęś i gada:

— Siadaj chłopacku, pojedziemy dalej..

Usiadł se malusi i leci, leci ponad góry i lasy, ponad rzeki i stawy i dalej i dalej.

— Dość ptasku — mówi malutki, puść mnie już, pónde dalej sam.

I znowu idzie sobie.

A gdy go nozęta zbolały, znowu se usiadł i znowu ptak psyleciał i znowu dalej pojechał malusi.

I tak dostał się aż do nasej wsi. Przed opłotkami zlaz se pięknie i idzie dalej.

A tu w każdej chałupie czerwono a zółto w oknach, bo wilija. Mrugają te światelka na małego i niby prosą go pięknie: wstąp boś zmarzł.

Zajrzał mały w jedno okienko chaty, w drugie, w trzecie: Widzi ludzi, co galanto obsiedli stoły, pogrywają se wesoło i gaworzą.

Gdzie niektórzy pocęli jus spiwac kole dy, powoluśko a później coraz sielniej, w końcu dygotały ino sybki od tego jargotu ludzkiego. Ano wilija...

Chłopacek nas stanął se w opłotkach zagrody Walentego, tego co to koło organisty siedzi — i zadumał sie.

— Iść cy nie iść — myśli.

E — wejdel

Puk, puk cichutko do drzwi. Pieski skoczyły z jazgotem, ale wnetki ucichły.

Ceka mały chwilę dobrą. Gdzie ta! nikt nie otwira, w chałupie takie śpiewanie, ze

Pod wpływem tej myśli cofa się jakby w głąb siebie i spogląda z rodzajem bolesnego niedowierzania.

— Cóżś taka zdziwiona? Przyznasz, że inaczej postąpić nie mogę. Trzeba się liczyć z opinią...

Ależ naturalnie! przyznaje i pojmuję aż nazbyt dobrze. Rozumie, że choć dawno rzuciła tej opinii rękawicę, dziś musi przed nią ustąpić i zrzec się swoich praw na rzecz „tamtej”...

Bo cóżby powiedziała wszechwładna opinia, gdyby taki szanujący się i dbający o nią burzuj nie spędził tego dorocznego, wigilijnego wieczoru przykładnie, w milej, ciepłej zgodzie, przy sympatycznym ognisku domowym... bez względu na to, czy czcigodne małżeństwo znajduje szczególniejszą przyjemność w wzajemnym towarzysztwie... (co jednak nie przeszkadza tejże opinii rzucać się z żarłocznością hyeny na rozmaite zakulisowe intermezja życia codziennego szanownego obywatela i jego wielce szanownej polowicy).

Rozchodzą się tylko o zachowanie pozorów, pozatem — niech żyje życie!

I wyobraża go sobie w roli czułego małżonka, wynagradzającego kochanej żoneczce zwyczajne zaniedbanie okolicznościowymi wybuchami słomianej czułości — do czego szczególnie nadająca się jest okazja „gwiazdki”, Nowego roku lub imienin.

Nastrój wybitnie świąteczny, bo dziś wyjątkowo tatuś nie idzie „na posiedzenie” i nie może przepędzić łaskawie kilka godzin przy jasno tego dnia płonącym ognisku rodzinnym, w otoczeniu grona mniej lub więcej przyjemnych dzieciaków.

Zachwycający wzór przykładowego ojca rodziny!

Lecz choć w duszy drwi z tego filisterskiego „ogniska”, jednak... ona będzie dziś sama!

To, o czym bała się myśleć przez szereg dni, wali się teraz na nią z całą potwornością nieuniknionej rzeczywistości.

— No, cóż tak posmutniało małżeństwo? Mnie również niebardzo wesoło, że trzeba się na dziś pożegnać — ale już późno. Mam jeszcze tyle sprawunków do załatwienia... Rozumiesz... gwiazdka! Bo choć, jak wiesz, nie przywiązuję żadnego znaczenia do wszelkich „tradycji”, jednak dzieci zawsze dziećmi... Sądzę, że mając książki, bez których nigdy obejść się nie możesz, nudzić się nie będziesz. Zresztą jutro przylecę jak tylko mi się uda najprędzej. Dobranoc Maryś!

— Dobranoc.

Choć wogóle jest fenomenalny w nieumiejętności wżycia się w czyjąś sytuację, czy uczucia, jakoś żał mu odchodzić. Ta wiotka, wątła postać, owiana subtelnym czarem kobiecości, robi na nim deprymujące wrażenie. Wydaje mu się dziwnie biedną, bezradną, potrzebującą oparcia i jakby proszącą o cieplejsze, przyjacielskie słowo.

Coś niby dziecię zbudzone z przykrego snu i daremnie szukające wokół opiekuńczej dłoni matki.

I jest mu z tem niewygodnie.

Czyżby wyrzut sumienia?

Bo oto, idąc wcale wygodną ścieżką życia, z sytą miną człowieka, któremu się wszystko udaje, spotkał kwiat — zresztą historia jakich wiele — i ani przez chwilę się nie zawahał, czy ma go zerwać, czy minąć.

Wprawdzie kwiat miał na rodzimej glebie wszystkie warunki rozwoju, a nadto pewien bardzo niepraktyczny przymiot: ufność i wiarę w ludzi — i ufnie, bez troski śmiał się ku niebu rożanym puchem dziewiczych rojeń, a teraz zerwany w jego ręku więdnije — cóż ztąd?

Nie on pierwszy i nie on ostatni używający przyjemności świata, póki służą lata...

W końcu, stać go na ewentualność ponoszenia konsekwencji swoich „mniej honorowych” czynów!

A że ten antrakt nudnego pożycia małżeńskiego umiał zręcznie sam przed sobą osłonić iluzją szczególniej-

szego, „prawdziwego” sentymentu — tem lepiej... Był rozgrzeszony w sumieniu — o ileby ono wogóle zechciało czynić mu t. z. wyrzuty — i miał okoliczność łagodzącą, a nawet dostatecznie usprawiedliwiającą fakt, że zapomniawszy o już roznieconej pochodni hymenu, (do czego skłoniła go w swoim czasie złota oprawa „wybranki serca”) wyciągnął od niechcienia rękę po naiwny, niedoświadczony kwiatek, który nie miał dość siły odpornej, by oprzeć się czarowi pierwszego, jakkolwiek niedozwolonego uczucia.

Ach! gdyby był wolny!... gdyby był prędzej ją poznał... Teraz widzi, że tylko ona jedna była by godną imienia jego żon i matki jego dzieci... (co jednak nie przeszkadzało mu przy nadarzającej się sposobności zrywać innych naiwnych kwiatków i uskarżać się przed nimi: Gdybym był wolny...)

No, ale fakt, że to wielce zaszczytne stanowisko zajęte już przez inną, mniej tego zaszczytu godną — faktem, i żadne rozumowania ni żale spóźnione tego nie zmieniają.

Przed tym silnym i tak przekonywującym argumentem pierzcha poczucie niby winy, a w jego miejsce wyłania się o wiele więcej niepokojąca okoliczność, że... już późno!

Więc jeszcze kilka zdawkowych słów pożegnania, zgrzyt klucza i echo kroków milknących w głębi klatki schodowej.

Jest sama.

Pierwszy raz w życiu w ten wieczór sama...

Mrok gęstnieje. Z kątów poczynają wypelzać długie ponure cienie, rozwekające wokół upiorne kształty.

Krwawe światło lampki płonącej przed czarnym krzyżem Zbawiciela, nabiera w zmroku siły i zapala w krąg rubinowe błyski.

Coraz mroczniej.

Przez cienkie, koronkowe zasłony okien przedziera się niepewny blask

hej! Ha — co robić? wchodzi malutki do izby sam, nie proszony.

— Pochwalony mówi...

Ale go nikt nie wita, bo kupom siedzą nad kantyczką i śpiwają...

— Pochwalony, mówi głośnie —

— Tatuś, ktoś przyszedł, mówi Wojtek, syn Wanka.

— Ha? kto? —

— Ja mówię cichuśko mały.

Ruszył się kupą do małego i nuze pozierać na niego i wypytywać, co za jeden.

Malutki nic nie peda, jeno poziera na nich wesoło.

— A kaj capka, pytają —

— Ni mom

— A buciary? —

— Ni mom...

A nie zimno ci było?

— Ni peda. —

Css — syknął Walenty. Pewno sirota jakaś!

— A chodźże bidaku bliżej, mówi Walentowa. Chłopaki gościa za stół, zróbcie mu miejsca. —

Dziecka w te pędy zaciągnęły małego na ławę, wyścieloną sianem, przysunęły lampę, aby lepiej go obaczyć. Walentowa, jakto każda baba.

— A może tobie tego, może tego...

— Pockaj matka, prawi Walenty... po kolei —

Przetłamał się z nim oplatkiem, podał śledzia i barscu i poważnie go prosił, coby jadł.

Kiedy malutki pojadł se dokumentnie, i ogrzał się co się zowie, pocął z nimi cieniutko kołędować.

Aleć pomału, pomału słabł jego głosik coraz bardziej.

Oparł się głową o snop zboża, co w rogu na ławie stał i przy kołędowaniu usnął se pięknie.

A tu w małej izbie zapanowała o śpiewanie, nicem w kościele.

Śpiwają se sielnie, gdzieś niektórym już ochrypiły głosy — nic to — oni ciągiem śpiwają.

Walentowa mrugnęła na męża:

— Spi już — mówi mu do ucha.

— Kto?

— A mały!...

Poziera Walenty. Zerwał się z ławy, stanął i patrzy, ani słowa rzec nie mogący... Pozierają inni...

— Laboga! co to?...

Od Malutkiego biją jasności, kieby od monstrancyi. Kosulinka na Nim długa, bie-

łuśka jak śnieg, rączka złożone jakby do modlitwy, a uśmiechnęty jak janioł. —

Spi sobie — jak święty jaki...

— Nikt ino Jezusek przyszedł do nas mówi Walenty — — Pomału Malutki otwiera ocy, cudności ocy, — i śmiejąc się mówi:

— Tak to ja!...

A oni wszyscy rym do nówek Jego — jak skosone kłosa — jęcząc:

— Jezusku złoty — — ostań!...

— Ostań z nami... wołają

— Nie mogę — — pódę do innych, mówi Jezusek — —

I pomału pocął się unosić pod pułap izby, pomału — cały w jasnościach i kosulnie bielutkiej jak śnieg ten — —

A za nim kieby dwie czerwone pręgi sunął krzyż — — coraz wyżej i wyżej —

Az znikł całkiem...

Walenty patrzył długo jeszcze, patrzali inni — a z oczu ich płynęły łzy — gruchne, kieby groch od wielkiej łaski — —

Zahuczał dzwon na pasterkę...

Pośli kupą wszyscy, by podziękować Jezuskowi raz jeszcze za łaskę — —

Tak to Jezusek przyszedł na wilje do Walentego.

zapalanych latarni i głuchy poszum życia ulicy, kipiącego podnieconem tętnem.

Machinalnie zbliża się ku oknu, na którego szybach mróz pocyna haftować srebrem dziwnie misterne, egzotyczne lisci i wzory.

W niepewnem półświecie szybko zapadającej nocy przesuwają się sylwetki szczelnie otulonych, ośnieżonych postaci, spieszących w najrozmaitszych kierunkach.

W ich ruchach gorączkowy pośpiech i podniecenie.

Bez jasno określonej myśli, bez ruchu stoi wpatrzona w ten kinematograf życia, z trudem przedzierający się do jej stępielej wyobraźni.

Zwolna, z chaosu myśli i uczuć poczynają wychylać się blade nikle sylwetki twarzy znanych... kochanych... tak niegdyś kochanych!...

Rok temu...

Jakżeż to się stało, że dobrowolnie wyrzekła się ich drogiego widoku? Czyżby miłość, którą lat tyle jej serce dla nich żywiło, zamarała?

Tak się jej zdawało owej chwili, kiedy stanęła wobec konieczności wyboru jednej z dwu ścielących się przed nią dróg: albo zadawszy sercu gwałt zdusić w zarodku budzące się uczucie grzesznej miłości — albo, depcząc po najdroższych wspomnieniach i związkach pójść za głosem ukochania.

Wybrała drogę ostatnią — sądząc, że to nowe uczucie zdolne jest wynagrodzić jej wszystko, co mu w ofierze złożyła: nieskalane wspomnienia szczęsnego dzieciństwa pod dachem rodzinnym, rojenia dziewczęce o wspólnem życiu z ukochanym, któremu będzie światłem najjaśniejszym, przyjacielem najszczerzszym i umiłowanem jedynem — wreszcie niebacznie stargane najserdeczniejsze węzły krwi.

Tymczasem, po całym szeregu wypadków, z których dziś sobie ostatecznie sprawy zdać nie umie, a w których brała udział jakby niewłasnowolnie, ocknęła się niby w spalonej piekielnem żarem słońca pustyni, z której nie widzi odwrotu, bo mosty łączące ją z oazą cienia i chłodu samochcąc spaliła.

Przejrzała — i zrozumiała, że wyniony bohater jest tylko zręcznym kuglarzem operującym tandetnym aparatem pospolitego blichtru i górnolotnych, suggestywnie brzmiących frazesów: o braterstwie dusz, wyzwoleniu z przesądu i śmiesznych, krępujących światowych formułek i t. d. — i że jedynym celem tych zabiegów jest zrealizowanie i zapewnienie operatorowi możliwie największej sumy nowych, podniecających wrażeń, tem miłszych, że owianych urokiem szczerzego, nieklamanego uczucia, — zrozumiała, że zesłała do roli najzwyczajniejszej metresy.

Takież finał młodocianych marzeń!

Jak mogła za tak podłą cenę przehandlować bezcenny skarbiec dotychczasowych przeżyć!

Rok temu...

A teraz jest sama... sama!...

Nie, nie sama! Korowód upiornych

mar, które tak długo, usilnie starała się przytłoczyć kamieniem zapomnienia i wgnieść w sferę niepamięci, wstaje widmową zjawą... i z podwójną natarczywością upomina się o pogwałcone prawa.

Nie mogła i nie może w żaden sposób zapomnieć obrazu zwłaszcza tej pochylonej, srebnowłosej postaci, widzianej po raz ostatni z tragiczną maską rozpaczego bólu i plamami biednych, wyplakanych oczu... wyplakanych przez nią...

Jak ona mogła wziąć na siebie rolę kata! jak ona mogła!

Z prawie namacalną wyrazistością widzi i czuje każdy najdrobniejszy szczegół tej sceny... i nagle, z olśniewającą mocą przychodzi na nią poznanie ogromu spełnionej winy i nieodwołalności dokonanego faktu.

Jest ogłuszona i wpół nieprzytomna.

Skłębione władze umysłu poczynają tańczyć w mózgu jakąś piekielną, potępieńczą sarabandę.

Mimo to najwyraźniej, jak gdzieś z odmetów przeszłości płynie ku niej serdeczny szept: Moja Wiosna.... — a wraz bezpośrednio wnika świadomość, że już nigdy... nigdy tego głosu nie usłyszy.... że on pożegnał ją słowami: Moja Wiosna umarła...

Trwożnie ogląda się wokół jakby w poszukiwaniu źródła tego głosu, który z tak przerażającym realizmem uderzył złowrogo w trzęsawisko fatalnych wspomnień.

Niby głuchy stuk młotka, wgniatającego gwoździe w wieko trumny...
....Moja Wiosna umarła...

Chwyta ją oblędny, rozpaczny lęk.

Czuje, że musi się stać coś, co wyrwie ją z tego błędnego koła myślowej katorgi, gdzie czyha na nią przepaść szaleństwa.

Ach! uciec przed sobą!... Przestać myśleć!...

Jakby niewłasnowolnie błądzi po wpół ciemnym pokoju, potykając się o sprzęty, tonące w tajemniczym, krwawym mroku.

Gdyby tak teraz...

Darmo... cud się nie stanie.

Zieloną darń cmentarną skrył biały śniegu puch... a ona nie ma odwagi przypaść do tej mogiły, objąć jej świętokradczem, plugawem dotknięciem... przytulić się do niej... poskarżyć... i wyszeptać: Matko przebac!....

Gdyby tak teraz... móżdż przypaść do tych drogich kolan.... utulić biedną, znękaną głowę w tych kojących, ukochanych dłoniach.... możeby uciichło rozpętane piekło szalejące pod czaszką....

Lecz... co to?

Z gwaru zmieszanych głosów dolatujących z za ściany wypływa wyraźnie czysty, dziewczęcy głos słowami pieśni: „Gdy się Chrystus rodzi....“

Jak zahypnotyzowana staje nieruchomo, wsłuchana w nieuczone dźwięki, lejące się dziwnie słodkim balsamem na wzburzony ocean jej duszy.

Bezwiednie podnosi wzrok i spotyka bezmiernie smutne, lecz pełne miłości i przebaczenia spojrzenia Ukrzyżowanego.

...Więc jest cicha przystań, gdzie milkną najszałeńsze orkany... gdzie nieszczęsny rozbitek wyczerpany walką z rozhukanyim żywiołem znajduje miłosierdzie i odpocznienie?...

A z rozchylonych spazmem męki ust Zbawiciela zda się płynie miłościwy, cichy głos: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę...“

...Więc i jej winom przebaczenie dane być może?

Więc i jej wolno schronić się przed pościgiem piekielnych fury do świętego przybytku ciszy i ukojenia?..

Coś rwie się w jej zakrzepłej długotrwałą męką duszy... jakiś żal okrutny, bezsłowny, długo tajony w najskrytszym zakątku serca, poczynając stawiane mu tamy... pękają jakieś palące więzy, co w krwią ociekające rany się wpily — aż z rozdzierającym, bezbrzeżnie bolesnem łkaniem rzuca się do stóp krzyża, wołając: Chryste! o Chryste przebac!....

A za ścianą rośnie gwar wesołych głosów i wrzawa swawolnego, dziecięcego śmiechu, zmieszane z kojącą ból serdeczny melodyą pastuszej pieśni: „Gdy się Chrystus rodzi....“

WY MOŻE!

Wigilja! wigilja! Snów tysiąc się tłoczy,
I płyną wspomnienia rojem —
Jak każdy syn ziemi — i ja mam w łzach
A kamień na sercu swoim. [oczy,
Tak smutno, tak ciężko, wśród wspomnień
[cmentarza,

U grobów zatrzymać się znanych,
Gdzie echo wciąż żywe pieśń dawną po-
[wtarza

O szczęściu i snach rozwianych.

Wigilja!... dom własny!... i ojciec i matka,
I święta spokojność w duszy,
I w dłoni matczynej szmer suchy opłatka,
Który się w palcach jej kruszy.
Jak ręka się trzęsie!.. jak czoło jej zbłądło!..
Piersz szarpią boleści skryte —
Spojrzała na dzieci... i z ust jej wypadło
Życzenie we łzy spowite:

„Wy może!“ — Pamiętam i szept ten
I serca zdwojone bicie, [i drzenie
I ogień krwi własnej — i oczu płomienie,
Rzucone w przyszłość, gdzieś — w życie!
Ach!... przeszło lat tyle!.. Umilkły harf
[dźwięki,

Zszarzało niebios przestworze —
Dziś biorę tak samo opłatek do ręki,
Do dzieci szepczę: „Wy może!“

Kazimierz Gliński

Wigilijny sen.

Dzień boskiej radości zawitał znowu.

W miastach, miasteczkach, wsiach wrzał ruch. Była to ta nieodzowna wielkim świątecznym przygotowaniom bieganina, niepokój, ścisł, jakby już po tych trzech dniach nie było więcej życia.

Jeno hen, daleko, tam gdzie olbrzymie pasmo gór stało, panowała niezmięcona cisza święta, powaga i dostojeństwo znamięnujące olbrzymów.

Wigilijny dzień był prześliczny.

Słońce brylantowym smyczkiem przeciągało po gronostajowej białej nieskalanej śniegów, co leżały jak płaszczy zaklętej królowej, pod którym szara ziemia śniła sen — o wiosnie. Cała siedmiobarwna tajemnica promienia słonecznego rozegrała się. Biegły smugi tęczowe, tęczowe węże, obrazy bajki we niesiszczonych na jawie, fantastyczne skry, fontany świetlne, co się łączyły w snopy światła i gasły.

Sosny wyciągnięte w linę połyskiwały w tych blaskach jak wotywne świece. Płomień czołgał się od pni aż po czuby.

Ale słońce spokorniało, kiedy błękitnolity zmierzch na złoto-srebrnych krosnach zaczął tkąć przedwieczorną baśń. Rzut jego farb był słodki, jak rzut szat brokatowych o linn niepokalanego piękna.

Drzewa słuchały tajemniczej gędźby fletniowej, którą szemrał srebrnopióry wiatr, zbierając z dali fiołkowe omamy mgieł, zasypując znów wszystko pyłem różanym zabranym ze zorzy zachodu.

A potem słońce skonało.

Niebo było jak mleczny dzwon i ostatnie, żegnalne blaski, pastelowe, legendarne wtapiały się w ciszę.

Był w tem wszystkim akord piękna, co sprawia w duszy boskie zadowolenie.

Przyroda brała udział we wielkim święcie, które za parę godzin miało zespolic serce kochające przy uczcie wigilijnej.

* * *

Na zrębie lasu w pustce, której świat oddechem nie brudził, stała jakby gniazdo jaskółcze do skalnego brzegu przylepiona, stara rudera.

Było to samotne ustronie pełne jakiejś upiornej cementarnej, martwoty. Wiała z tego kąta melancholia przeraźliwej pustki i przynajmniej smutek daremnej oczekiwania. Ludzie chatkę opuścili; bali się nędzy. Rozwaloną była do połowy; uschnięty trup starej gruszy stał na straży koło okna; zapadłe mury przykre robiły wrażenie.

W zimie jednak przemieniała się ta chatka w coś mistycznie średniowiecznego. Dobroczytny śnieg nakrywał białą pościelą zrzucony dach, a wysterczające gdzieś niedździe kawały gliny lub mchu dodawały fantastyczności. Tam gdzie wapno opadło ze ścian, zielona pleśń stroiła drzewo w archaiczną patynę. U zrębu dachu wisiały ciemne tople jak tkanina brabantich koronek, jak gór kryształ. Wewnątrz tej chaty czaiła się bieda straszliwa. Niedużo sprzętów było. Mały stół stał pod oknem; kulawo krzesło; tapczan pełen brudnych łachmanów; pare garuków glinianych na piecu. A izba była tak mała, że z trudem dwoje obracać się mogło.

Mieszkała w niej uboga wyrobница z chorym ośmioletnim synem, którą mąż brutal porzucił w kilka miesięcy po ślubie w świat odjeżdżając daleki.

Marya była to jedna z tych istot, które wegetują po za nawiasem wszelkiej radości życia. Garść popiołu rzucono na wiosnę jej dni. Mimo młodych lat, nie była nigdy wesółą; nie miała nawet ruchów swobodnych, jakby się wyczerpieła, że kulaki spadną znów na jej plecy i głowę. Był w jej twarzy stan trwałego przynęcenia, znieczulenia, przerażenia duszy obumarłej pod ciętymi bezlitosnej niedoli.

Od czasu, kiedy musiała ciężko pracować na kawałek chleba i Adaś jej ukochany syn zaczął chorować, patrzyła na wszystko przez łzy. Uratować syna, wrócić mu zdrowie za wszelką cenę, było jej marzeniem. Coż kiedy jedynie dobre pożywienie i ciepło mogło mu wrócić siły żywotne. A tu jeno czasem było ciepło w izbie, a pożywienie zwykle marne.

Oto idzie teraz pełna troski i znużenia. Wraca z umasteczka, dokąd chodziła po kaszę i jabłka dla Adasia. Znużony drwał dał jej małą sosenkę. Przyjęła z wdzięcznością dar biedaka i teraz kłopotuje się, czem ją ubierze i co na niej zawiesi.

Blade wspomnienia chwil odległych, dawno umarłych zaczęły przepelniać czarę jej smutku.

Zatrwożyła się.

Dom rodzinny — święta — dostatek. Boże, Boże, jak to dawno — — minęło wszystko.

Minęły te chwile, w których kameleonowa tkanina szczęścia otulała ją i ona miała wtedy purpurowe godziny zachwyty i złoty spokój i ciłość przemijalszą.

Wąską ścieżką dotarła nareszcie do swojej pustelni.

Pchnęła drzwi i weszła do ciemnej sionki. Postawiła drzewko w kącie, potem weszła do izby.

— Mama — radośnie zawołał blady chłopak i uśmiech anemiczny pojawił się na spiekłych wargach.

— Leż Adasiu, tu zimno — odparła Marya, widząc, iż chce wstawać i zaczęła pocałunkami okrywać jego główkę zbiedzoną.

Ciepło ci? —

— Bardzo. —

— A nie boli? —

— Nie nic nie boli. Trochę głowa. Ale to przejdzie i gorąco jest. Popatrz — i podawał jej chude rączyny spocone, rozgorączkowane, które gładziła spracowaną, zimną dłonią.

— Zaraz rozpalę ogień i ugotuję ci kaszy i jabłek. Dobrze? —

— O nie Mamo, nie ma czasu. Niedawno był tutaj parobek z leśniczówki. Musisz tam iść, pomagać trzeba; goście z miasta przyjechali i kucharka nie da sobie rady. Dostaniesz Mamo całą kolację i koronę! —

Marya uważnie słucha, co chłopak mówi, a każde słowo jak klejnot zapada na dno jej serca.

Korona, powtarza jakby w magnetycznym śnie i tyle jedzenia.

— No idź, już idź, Mamo — nagli Adas — widzisz, jeszcze nas Pan Bóg w swoje święto nie opuścił i ludzie o nas pamiętają.

— A tobie tak samemu smutno nie będzie? —

— Nie Mamo, nakryję się i może usnę. Tak lubię różne sny; wtedy mi ciepło i nie boli. Jak wrócisz, zapalisz ogień i ugotujemy coś dobrego. Prawda? —

— O tak zjemy coś dobrego. Ja nie tknę mojej porcy. Wszystko dla ciebie Adasiu, dla ciebie. Tymczasem postawię ci drzewko, patrz na nie. Potem ubierzemy je jabłkami, a może orzechów i świeczek przyniosę? —

— Świeczek! radośnie zawołał i klasnął w dłonie. No idź Mamo prędko, idź prędej wrócisz. —

Marya przyniosła choinkę, postawiła w kącie przy łóżku. Dała Adasiowi kawałek cbleba czarnego i jedno jabłko. Ucałowała chłopca serdecznie i poszła unosząc na swoich ustach melancolię ostatniego, żegnalnego pocałunku.

Nędza zwyciężyła.

* * *

Krystaliczna, chłodna jasność powietrza uroczem tchnęła. Zdumane mezmierznie milczenie ogarnęło świat.

Marya zaczęła żałować, iż wyszła. Zapóźno jednak na powrót było.

Ciemność była powoli miękkim skrzydłem. Było coraz mroczniejsze i coraz tajemniej. Niebo czarne i głębokie zaczęło wyjawiać tajemnice gwiazdnych hieroglifów.

Księżyc zaskrzepł w ogromną srebrną łzę — i znaczył wszystko swoim chłodnym dotknięciem. Drzewa opylone uludnem zaklęciem jego srebrnej przędzy, szeptały bezgłośnie pacierze, szumiąc modleniem cichym i wiecznym. Przyszły marzone godziny świętego wieczoru, pisane rękoma aniołów na aksamitnych granatowych chmurach.

W noc taką Madonna jasna i dobra ludzkiemu uśmiecha się szczęściu i błogostawie wszystkim anielsstwem swej twarzy. W noc taką przychodzi do nędznych i małych białe Anioły Poczieszenia.

W izdebce Adasia działy się dziwy.

Jasne smugi ozłacały każdy kąt, wszystko było takie małe, takie złote, pojętne. Adasia ogarnęło nieznane mu dotąd uczucie.

Ciepło — sen — jawa.

Coś przyszło doń szlakiem różanym, melodia słowiczich pieśni, wonia pachnideł

myrrheńskich w szafirowej legendzie świetlistości.

Kiedy otworzył oczka, ujrzał koło swojego łóżka prześliczną istotę.

Taką widział jeno na świętym obrazku w książeczce do modlenia u swojej matki.

Był to biały aniołek w szacie topazowej złote miał łoki, błękitne bajki-oczy i tęczowe skrzydła.

Drzewko znów płonęło tysiącem światła, świadczył, niewidzianych słodyczy, orzechów połączonych, pierników.

Adas z radości nie mógł oddychać. Oczy mu rozplonęły jak gwiazdy. Pił blaskiem umęczonych źrenic cały czar nieznanych dotąd rzeczy. Pił jak nędzne chore dziecko pije dobre orzeźwiające wino. Pił jak pęk kwiatu pije ranną rosę, jak ptak osłabiony dalekim lotem pije wodę.

I wniósł w duszę Adasia w jednej chwili ow mały Anioł-Stróż, gdyż przyszedł doń ze spletem dobrych ramion, przyniósł ze sobą wiosenne marzenie i ukazał drzewko cudnie ustrojone.

Kłonił się ku sobie jak dwa kwiaty.

Jeden leśny, blady, nędzny, stęskniony wiecznie za słońcem, barwą i wonią, pełny nienych przeżyć, nieukończonych tęsknot za dalekim dniem.

Drugi złoty, w kramie niebiańskiej urodzony, nabrzmiały wonią, pełen seraficzego spokoju.

Aniołek usiadł na krawędzi tapczana i zaczęli rozmawiać.

Słowa aniołka, które przyniósł z gwiazd, jak rosa wonna zapadały w ciszę i pustkę, a głos jego kładł się pieszczotą pieszczot na serce biednego sieroty.

Otworzył się czarowne gaje uniesień.

— Zle ci na świecie? — pytał Aniołek.

— Zle, odparł Adas cichuteńko i tak boleśnie, że w tem jednym słowie streściło dziecko skargę na wieczny ból. —

— Pójdziesz do nieba. Dobrze? —

— Pójde. Weź mnie, weź — prosił Adas zapominając o matce — a jak tam w niebie, opowiedz. —

I zaczął Anioł mówić o cudnem królestwie, w którym żyją dusze wybranych ludzi. Jako, że jest łąka ze samych niezapominajek, dlatego takie niebieskie. Rosną na niej też i złote kwiaty, na cienkich łodygach, kiedy noc przychodzi, one rozkładają swoje kielichy rozkwitając żarem. Ludzie nazwali je gwiazdami.

Na łące pasą się białe baranki, aniołki małe bawią się nimi. Czasem tylko, kiedy bardzo psocą i dokuczają, święty Piotr się gniewa, wtedy one płaczą, niezapominajki stulają kielichy, robi się chłód, ciemno. Ludzie mówią wtedy: deszcz pada.

W niebie jest ślicznie. Hen daleko stoi złocisty tron Boga Ojca, który okrywa złotą chmurą tak, że patrzeć nań trudno. Tam chóry Cherubów grają na lutenkach pochwalne psalmy.

Raz do roku pozwala nam Pan Bóg zlatywać na ziemię. W wigilię Bożego Narodzenia przychodzimy. Do każdego człowieka zbliża się jego Anioł-Stróż. Jedni go odrzucają, zapominając o święcie głusi na zbawienne podszepoty, inni obojętnie przyjmują, a jedni cieszą się nim tak, jak ty mój biedny Adasiu — kończył aniołek.

— Jakiś ty dobry — szeptał Adas ukołysany melodiją wieczności. — Weź mnie, weź tam do nieba. Aniołkiem zostanę — drzewko będzie — — ciepło będzie — — — dobrze — — cicho. — —

W zimnej, ciemnej izbie stało się coś, co nie śmiało powstać dnem, a powstało nocą.

Zabłąkany, bezdomny wiatr szukający legowiska uderzył w chatkę. Zadygotały ponuro drzwi, a szkielety gałęzi starej gruszy pukały w maluchne okna.

Anioł śmiertel przeleciał. Przyniósł cię do bielnemu młoczący wypoczynek, a duszę unosił na swoich skrzydłach, ponad pół zamarzłych śnieżne szlaki w błękitną kramę nieskończoności, gdzie panuje cisza taka ukojna jak wniebowzięcie.

* * *

KRONIKA.

Było już po północy.
Z dalekiej leśniczówki wąską ścieżką, co
lśniła jak pas srebrnej tamy, szła Marya ku
swojej lepiance.

W garnuszkach niosła dużo dobrych
rzeczy; w róg chusteczki zawinęła śliczną
nową koronę

I marzyła. Marzyła o tem, co kupi za
tę koronę; co będą robić przez dwa dni
świąt; jak ubierze choinkę, gdyż dala jej
parę świeczek kolorowych i orzechów zio-
conych.

Tęsknota bolesna przenikała jej serce,
kiedy myślała naczyniem tam w ciepłej kuchni,
a myśli szybsze od lotu jaskółek były ciągle
przy Adasiu: Nie mogła jednak przybieść
prędzej. Ale teraz miłość dodaje sił i w du-
szy jej grają echa kołęd, ciepła i radości
rodzinnej.

Noc była ogniami jarząca i śpiewna.

"Szczęśliwy, kto w noc taką umrze" —
powiedziała jej dzisiaj kucharka.

O szczęśliwy bardzo — ogląda samego
Boga.

Może ja umrę, zamarznię tu na drodze
— — — nie — — — broń mnie Chryste Pa-
nie — — — sam przecież Adaś — — — sam,
biedny, głodny, zziębnięty. Jak się on tem
wszystkiem ucieszy. Drzewko ubierzemy,
świeczki zaświecimy, będziemy kołędować,
najemy się, a potem spać aż do południa.

Marzenia te popychały Maryę do szyb-
kiego biegu. Ale chwilami nie mogła tchu
złapać.

Mroźny wicher ciał niby nożem. Na
chustce naokoło twarzy zrobiła się skorupa
lodu i przymarzła, nadaremno tuliła oczy.

Smutek równin opustoszałych zaczął ją
nagle trwożyć przejmować, która w ślad ra-
dości lubi się wlec.

Monotonność drogi nużyć. Po polach
snuły się widma srebrnolice i jakieś tajem-
nicze szepty.

Daleki klasztor modlił się łkaniem dzwo-
nów zwojujących na pasterkę. Szły echa
łzawych zachwyców, które mistrz robiąc
dzwon przelał z duszy swojej w twardy spiż.
Szły w dal rozgłosy, bo były nową ema-
nacją zrodzone z tajemnicy i marzenia.

Nareszcie Marya dotarła do chaty.

Pchnęła drzwi. Zostawiła w sionce ob-
marzłe chustki i wpadła szybko do izby.

Aż ajknęła, taki powiał nagle mróz.

— Adasiu — — — Adasiu — — — już jes-
tem — — — zawołała radośnie, stawiając o-
strożnie na piecu garnuszek.

Cisza — — —

Powiała pustka rozpaczliwa rzeczy do-
konanej już i minionej. — Łkał po kątach
ból wieczystej utraty i co, co już nigdy nie
wróci w tej samej przemianie.

Maryja bez tchu zbliżyła się do łóżka
duszę całą, mając w oczach.

— Adasiu śpisz? —

Cisza.

Dotknęła czoła jego. Sztynna twarzyczka,
oświetlona nagle ukośnym promieniem księ-
życa, była biała i zimna. Oczy patrzyły w
dal, na rzeczy nieziemskie.

— O Jezusie — krzyknęła — — — i
osunęła się na podłogę zemdlna.

Olga Bilińska.

Życzenia „Wesołych Świąt“ przesy-
łamy P. T. Prenumeratorom i Przy-
jaciółom naszego pisma.

Porządek nabożeństw w dni Świąt Bo-
żego Narodzenia w kościele parafialnym w
Sanoku jest następujący:

We wilię o godzinie 12. w nocy „Pa-
sterka“ celebrowana przez ks. dziekana Ma-
twijkiewicza.

We czwartek dnia 25. b. m. prymaria
o 7. rano, ciche msze św. o 8 i 8¹/₂, wo-
tywa o 9. rano, suma z kazaniem o 10¹/₂,
przed południem — nieszpory o 3¹/₂ po po-
łudniu.

W piątek w dzień św. Szczepana ten
sam porządek nabożeństw. Po sumie święce-
nie owsa.

W sobotę dnia 27. b. m. jako w dzień
św. Jana Ewangelisty, odprawioną zostanie
o 8 rano wotywa, poczem święcone będzie
wino.

Na Pasterce odegra muzyka strażacka,
pod batutą p. St. Budweila, cały szereg
ślicznych kolend.

Tradycyjna wieczornica opłatkowa w
sanockim Sokole odbędzie się dnia 5. stycz-
nia 1914.

O bliższych szczegółach wieczornicy
poinformowani zostaną członkowie Sokoła
kurenda.

Wedle staropolskiego zwyczaju chodzić
będą i w tym roku księża wikarzy w całej
parafii „po kolendzie“ i zbierać datki na po-
krycie dawnych długów zaciągniętych na
malowanie kościoła, oraz na uporządkowanie
obejścia kościelnego.

Zaznaczyć musimy, że księża wikarzy
poświęcają się dla dobra parafii, bo przez
zebrany „po kolendzie“ grosz zmniejszają się
znacznie ciężary konkurencyjne. Dziwnem
też jest, że w poprzednich latach, zamiast z
objawami wdzięczności, spotykali się w swej
peregrynacji z niezem nieuzasadnionemi
przykrościami.

Datki są dobrowolne. Wolno każdemu
dać, albo nie dać — ale nie wolno nikomu
zachowywać się niewłaściwie wobec tych,
którzy z całym zaparciem się siebie spełniają
przykre i uciążliwe zadanie kolektantów.

Z powodu świąt wydajemy zamiast w
niedzielę dnia 22. b. m. dopiero dzisiaj o-
statni w tym roku „święteczny“ numer Ty-
godnika.

Następny numer okaże się w dniu 1.
stycznia 1914, poczem następnie powrócimy
do regularnego wydawania pisma w każdą
niedzielę rano.

Wiadomości osobiste. Namiestnik prze-
niósł w stan stałego spoczynku p. Andrzeja
Bugierę, sekretarza starostwa w Sanoku.

Budżetowe posiedzenie rady miejskiej
odbyło się w dniach 22 i 23. b. m.

Sprawozdanie z posiedzenia tego, które
miało wyjątkowo przebieg całkiem poważny
oraz sam budżet zaczniemy drukować w
następnym numerze Tygodnika.

Sylwestra urządza dla swych członków
w dniu 31. b. m. Kasyno w Sanoku. Niewy-
muszone, skromne, a bardzo miłe zabawy
sylwestrowe w Kasynie cieszą się od dawna
doskonałą opinią u starszych i młodszych.
Niewątpliwie i w tym roku będą chcieli
wesołym gwarem zagłuszyć przykre wspom-
nienia fatalnego roku „trzynastego“ i w gro-
nie znajomych oczekiwać przybycia tajemni-
cą okrytej „czternastki“.

Świetnie zapowiada się wystawienie
„Jasełek“ Konopnickiej, które odbędzie się
staraniem sanockiej Drużyny Bartoszewej w
dniach 3 i 4. stycznia 1914 w sali Sokoła.

Bilety na oba przedstawienia są już
prawie w całości rozkupione.

Do powodzenia „Jasełek“ przyczynia
się wspaniałe kostiumy i dekoracje, sporzą-
dzone wedle wzorów art. malarza p. Zygmun-
ta Wrześnińskiego i Maks. Słuszkiewicza.
Scena przedstawiać będzie „bajeczne kolo-
rową“ prawdziwą szopkę krakowską, oświe-
tloną fantastycznie światłem elektrycznym.

Kto chce zobaczyć „Jasełka“, niech spie-
szy poki czas po bilety do Kramu T. S. L.

Dziś święci rocznicę pierwsza nasza
notatka w sprawie stanowiska fiakrów przy
ulicy Tadeusza Kościuszki i obok sklepu p.
Michała Słuszkiewicza. Fiakry stoją tam
wbrew pozwoleniom magistratu i Starostwa,
a obie te władze są zdaje się wobec nich
bezsilne, bo ich nie usuwają.

Magistrat i starostwo swoje, a przed-
siębiorcy fiakerscy swoje.

Jest to po prostu niesłychane, aby wła-
dza autonomiczna i polityczna pozwoliła tak
kpić ze siebie... fiakrom.

Licytacja rewiru rybackiego na Sanie i
Oslawie odbędzie się w sanockim starostwie
w dniu 29. b. m.

Zwracamy uwagę ogółu na tę sprawę,
albowiem żydzi, którzy uważają się za u-
przywilejowanych co do spożywania ryb,
dokładają wszelkich starań, aby stać się
panami rybołówstwa w Sanie. W tym celu
zawijała się nawet żydowska spółka, która
dla zmylenia współlicytantów podstawić ma
jako licytanta dotychczasowego poddzier-
żawcę rewiru Józefa Solona.

Niech więc chęć nabycia rewiru mający
katolicy nie kępią się osobą p. Solona, bo
będzie on tylko żydowskim figurantem i niech
starają się o nabycie rewiru, a może prze-
cież będą mogli i katolicy w Sanoku spró-
bować od czasu do czasu, jak smakuje ryba.

Loterya gospodarska, urządzona w dniu
14 grudnia b. r. na dochód biednych zosta-
jących pod opieką Towarzystwa św. Wincen-
tego à Paulo, przyniosła brutto 1115 K. 35 h.,
wydatki wynosiły 208 k. 96 h., pozostał czys-
ty dochód 906 k. 39 h.

Za ten tak pomyślny wynik składam w
imieniu biednych serdeczną podziękę tym
wszystkim, którzy łaskawie ofiarowali fanty,
jak też i wzięciem udziału w loteryi przyczy-
nili się do przysporzenia dochodu.

Osobno dziękujemy raz jeszcze W. Pa-
niom, które raczyły zająć się rozsprzedażą,
losów przy stołkach i sprzedażą przy bufe-
cie.

Wszystkim składam serdeczne „Bóg zapłać“.

Władysław Szomkowi.

Składki. W Kramie T. S. L. złożyli:

Pan Maryan Kawski zamiast życzeń
noworocznych złożył na rzecz T. S. L. K. 5.
P. Baczyński z Zagórza na Zakład wy-
chowawczy w Miejsou piastowym K. 3.

Odpowiedzi od Redakcyi. W Pani Olga
Bilińska, Lwów. Serdecznie dziękujemy i po-
lecamy się nadal łaskawej panięci.

M. H. w S. Nie otrzymawszy „obietca-
nego“ wierszyka do dzisiejszego numeru
spodziewamy się dostać za tydzień ładne
„Powitanie Nowego Roku“ do numeru no-
worocznego.

Ciekawo w Ustrzykach. Zła się Pan wy-
brał, bo my nie możemy Panu wyjaśnić,
dlaczego Kasyno w Sanoku oświetlone jest
stałe przez całe noce

Wyjaśnienie w tym kierunku mogłoby
Panu udzielić Prezydium Kasyna.

Odpowiedzialny redaktor: Michał Pollak.



Rzecz dotąd niebywała!

Posyła każdemu tak długo, jak tylko zapas
wystarczy, za pobraniem poczt.

1 Pierścioneł złoty

14-karatowy z prawdziwym dyamentem opra-
wionym według najnowszego fasonu, dla Pań
i Panów według życzenia i podanej miary liezące
1 szt. K. 4-50, 2 szt. K. 8-50, 3 szt. 12 K.

G. Seidel

KRAKÓW, ul. Warszawera Nr. 1.

Gdyby posłany pierścioneł nie zadowolnił od-
bioreę — zwracam pieniądze.

Już nadeszły
ostatnie nowości na jesień i zimę
w olbrzymim wyborze
do magazynu bławatnego
Antoniego Uwieru
LWÓW, ul. Halicka 10.
FILIA W STANISŁAWOWIE.
TOWAR TYLKO DOBOROWY.
Ceny nadzwyczaj niskie.
Próbki odwrotnie.



Przez Wys. c. k. Namiestnictwo koncesyonowane

BIURO PODRÓŻY

(dawniej Jadwiga Kieszowska)

ZYGMUNT KIESZKOWSKI

zastępca „Linii Hamburg - Ameryka“ dla
Galicyi Zachodniej

SANOK

naprzeciwko Stacji kolejowej.

Sprzedaż kart okretowych do Ameryki
oraz biletów kolejowych do Hamburga,
jakoteż do wszystkich miejscowości
w Ameryce.

Kantor wymiany pieniędzy amerykańskich

C. K. OBWODOWA APTEK W SANOKU

Zastępstwo Krakowskiej Spółki Chemików

przyjmuje wszelkie analizy.

Kierownicy techniczni: Prof. Dr. A. Bolland i Prof. Dr. A. Korczyński
zaprzys. chemicy sądowi.

analiza wody, zależnie od celu . . .	K. 16—60
„ nawozów: oznaczenie . . .	5
„ gliny wstępna . . .	15
„ „zupełna . . .	50
„ pokostu . . .	10
„ rud i mineralów, od składnika . . .	5
Badanie tłuszczów, smarów i wosku na zafalszowanie . . .	10
Oznaczenie ilości tłuszczu drogą ekstrakcji . . .	4
„ kwasoty (stopnia zjełczenia) . . .	3
„ punktu topliwości . . .	2
„ ilości popiołu . . .	2
„ istot wyciągowych . . .	3
„ ilości wody . . .	2
„ refraktometryczne . . .	3
„ fuzlu . . .	8
„ garbnika . . .	4
„ gliceryny . . .	4
„ ilości alkaloidów w przetwo- rach leczniczych . . .	10
„ wartości opałowej węgla, tor- fu i t. p. . .	25

Analizy dla celów sądowych . . .	we-
„ wód mineralnych . . .	dle
„ mikroskopowe i towarowe . . .	umo-
Wszelkie inne analizy z zakresu handlu przemysłu, rolnictwa, farmacji i hy- gieny . . .	wy

ANALIZY ROPY.

1. Analiza moczu zupełna . . .	K. 8—
(Przesłać prosimy ilość całodzienną z dodatkiem 05 tymolu).	
2. Analiza moczu skrócona . . .	6—
(Przesłać prosimy 120 gr. jako zwy- kłą próbkę bez wartości z dodat- kiem 02 g. tymolu; wysyłka pakie- tem podraża o 50 hal.).	
3. Poszczególne oznaczenia . . .	3—
(Wysyłka jak pod 2).	
Mocno zakażenie chorób są od przesyłki wykluczone.	
4. Badanie mleka karmiących . . .	10—
(Przesłać prosimy 100 gr. z dodat- kiem 1 cem wody utlenionej).	

Skład leków zagranicznych i krajowych — wody mineralne — środki kosmetyczne.
TLEN DO WDYCHIWANIA.

Krem ogórkowy, znakomity środek przeciw piegom i wyrzutom skórny. Szampam Dr. Lustra
do włosów. Wina lecznicze. Bandaże — artykuły gumowe i wszelkiego rodzaju opatrunki.

E. 1857/13.

4

Edykt licytacyjny.

Dnia 31. grudnia 1913. o godz. 11. przed
południem w sądzie niżej wymienionym
w biurze Nr. 8. odbędzie się licytacja re-
alności objętej lwh. 29 gm. kat. Zagórz
wraz z przynależnościami składającymi się
wedle protokołu oszacowania z 26 kwie-
tnia 1913. l. cz. E. 1857/13/2.

Nieruchomość ta wystawiona na li-
cytację jest oceniona na kwotę 407 K. 50 h.

Najniższa cena wynosi kwotę 271 K.
32 h. poniżej tej. ceny sprzedaż nie przy-
dzie do skutku.

C. k. Sąd powiatowy, Oddz. IV.

Sanok, dnia 29. listopada 1913.

2—2

Kaszlesz? Przeciw astmie, kaszlowi i chrypcie



Alpejskie sosnowe cukierki

uśmierzające, rozpuszczające flegmę.



Nie ma tań-
szego i lep-
szego środ-
ka nad za-
lecane

„Picea“

Alpejskie sosnowe cukierki
Dla osób starszych kilkakrotnie po 1—2 sztuki
dziennie.

W pudełkach po 20 i 50 hal.

Alpejski „PIMEL“

miód sosnowy dla dzieci 3—4 łyżki słodowe
dziennie.

We fiaskach po 1 kor. 20 hal.

Do nabycia w Sanoku w aptecce Piotra
Wąsowicza, jakoteż prawie we wszyst-
kich aptekach na prowincyi.

SANKI

jedno, lub paro-konne
zaraz do sprzedania.

Bliższa wiadomość u Krämera, rucznika-
rza c. k. Obr. kraj. w Sanoku.

L. cz. E. 2826/13/7.

Edykt licytacyjny.

Na żądanie Towarzystwa wzajemnego
kredytu „Beskid“ w Sanoku, zastąpionego
przez adwokata Dr. A. Sawinkę w Sanoku,
odbędzie się dnia 29. grudnia 1913. o godz.
10-tej przed południem w sądzie niżej wy-
mienionym, w biurze Nr. 8, w Sanoku licy-
tacja:

1. realności objętej lwh. 63. gm. kat.
Zagórz;

2. realności obj. whl. 284. gm. Zagórz
wraz z przynależnościami, składającymi się
wedle protokołu opisanego i oszacowania z
26. czerwca 1913 l. cz. E. 2826/13/4.

Nieruchomości te wystawione na licyta-
cję są ocenione na kwotę a to:

ad 1. na 1666 K. 20 hal. ad 2. na
1297 K.

Najniższa cena wynosi ad 1. 1110 K.
81 hal. ad 2. 864 K. 69 hal. poniżej tej
ceny sprzedaż nie przyjdzie do skutku.

C. k. Sąd powiatowy, Oddz. IV.

Sanok, dnia 15 listopada 1913

2—2

JESLI

nie macie apetytu, czujecie
się niezdrowymi, przyniosą
wam WYPRÓBOWANE
PRZEZ LEKARZY

Kaisera

żołądkowe

karmelki miętowe

niezawodną ulgę.

Odzyskacie dobry apetyt, żo-
łądek zostanie odrestaurowa-
ny i wzmocniony. Z powodu
pokrępiającego i orzeźwiają-
cego działania, niezbędne na
wycieczkach.

Pakiety po 20 i 40 halerzy

do nabycia u:

M. Kawskiego, apteka Sanok
H. Eisenbacha,
J. Hydzika, droguerya
Ch. Epsteina, hand. del.
F. Gerzabka, apteka Bukowsko.

25.000 zegarków! po 3 K 30 h. za sztukę!

Specjalny płaski, elegancki, kawaler-
ski zegarek ze złota „double“, najnowszy
paryski fason, znakomita marka. Zegarek
ten posiada dobry 36-godzinny werk
kotwiczny i jest złożony elektrycznie pra-
wdziwem 18 karatowym złotem. Regular-
ny chód, 4-letnia gwarancja.

1 sztuka kosztuje tylko 3 K. 30 h..
2 sztuki 6 K., 4 sztuki 11 K., 8 sztuk 20 K.

„Gloria“ srebrny zegarek kieszonko-
wy, ze szwajcarskim werkiem, regularnie
idący 2 K. 90 h.

Paryskie pozłacane łańcuszki, najmo-
dniejszy fason, franc. „double“ po 70 h.
za sztukę, te same łańcuszki niepozłacane
po 25 h. za sztukę. — 3 sztuki za 65 h.

Do nabycia za pobraniem w domu
wysyłkowym

C. Diamand

Kraków, Berka Joselowicza 11

2—5

Stolarzy

potrzebuje Fabryka Wagonów w Sanoku
Pierwszeństwo mają stolarze meblowi, lub
ci, którzy już pracowali we fabrykach
wagonowych.

Dyr. fabr. Sanok.

2—5